

# WYGRAŁEM ZE ŚMIERCIA

- Przez około pięć lat śmierć codziennie zaglądała mi w oczy. Nigdy nie byłem pewny jutra. A przecież trzeba było wierzyć, że się przetrwa. Tylko siła woli, głęboka wiara i modlitwa nie pozwoliły mi się rzucić na druty - wspomina swój pobyt za murami Oświęcimia Józef Stós, więzień nr 752, mieszkaniec Okocimia.

- Pamiętam, kiedy zakładano obóz. Nie wiedziałem, jak się znaleźć tam, gdzie nie ma niczego co dyktuje rozum, co nakazuje serce. Gdzie żadne zasady współzycia nie wchodziły w grę i że samemu musi się wypracować sposób na przetrwanie. Nikt mi nie wskazał, jak się zachować, bo wszystko było obce, dziwne i takie niehumanitarne. A wiedza o tym jak postępować w obozie była cenniejsza od kromki chleba. Za błędy placili się życiem.

## Początek gehenny

Józef Stós we wrześniu 1939 r. trafił na wschodnie tereny Rzeczypospolitej. W szwadronie „Mizocz” - Strażnicy Korpusu Ochrony Pogranicza został wzięty do niewoli sowieckiej. Udało mu się z niej uciec. Wrócił w rodzinne strony. W maju 1940 r. znalazł się w grupie pięćdziesięciu brzeskich zakładników. Było to tuż przed świętem 3 Maja, gdy ktoś wpisał Niemcom ich nazwiska na tę listę. Józef Stós został aresztowany przez gestapo i osadzony w tarnowskim więzieniu. Tam zaprzyjaźnił się z Bogdanem Szujkim. Imponował mu doświadczeniem, znajomością życia. Gdy przygotowywali ich do transportu umówili się, że w pierwszym roku po wojnie, 3 maja o dziesiątej spotkają się w Krakowie pod Sukiennicami. Pan Józef nie mógł wtedy przyjechać. Był rok później. Bogdana nie zastał. Prawdopodobnie rozstrzelano go na Górze św. Marcina.

- Jego bardzo lubiłem. Przecież to on doradził mi, żebym podczas przesłuchania grał nedorozwiniętego - z niepokojem mówi pan Stós. Opuszczając celę nie przypuszczałem, że pożegnaliśmy się na zawsze.

## I stało się

W Tarnowie więźniowie byli przesłuchiwani przez gestapo. Potem włączono ich do pierwszego oświęcimskiego transportu. Wyruszył on z Tarnowa w liczbie 728 więźniów. To miało miejsce 14 czerwca 1940 r.

- Przewieziono nas do Auschwitz. Towarzyszyły nam jakieś piekielne krzyki - wspomina więzień. Następnie rejestracja. Zostaliśmy tylko przy jednej zmianie bielizny na sobie, ubraniach bez czapek i butach bez skarpet. Dostałem numer 752. Później była kłótnia - grochówka, najlepsza jaką można było ugotować. W obozie nigdy już takiej nie jadłem.

Józef Stós wraz z kolegami: Mietkiem Zięciem i Felkiem Gurgulem dostali się do bloku „B”. Spali na podłodze, na słomie.

- Nie byłoby to takie straszne, gdyby nie ścisł i pchły, które szybko zaczęły się

mnożyć - twierdzi. Od rana do apelu był „sport”; hipfen czyli skakanie żabki, rollen - toczenie się dwóch grup w przeciwne strony. Najgorsze było zderzanie się. Odpoczywaliśmy w marszu, śpiewając.



J. Stós w czasach gimnazjalnych, 1939 r.

Jedzenie w obozie było bardzo marne, a więźniowie tak głodni, że po kilku dniach pobytu wyskubywali resztki trawy. Kiedy tu przyjechali, sięgała im do pasa.

6 lipca 1940 r. uciekł pierwszy więzień - Wiejowski. Wszyscy musieli ponieść karę. Zarządzono apel. Trwał całą dobę. Trzeba było stać z rękoma założonymi na karku.

- Bałem się je opuścić, więc podniosłem nieco wyżej. Ten ruch został zauważony. Dostałem kijem w wierzch dłoni. Pomyślałem, że jej część mi odpadła.

## Straciłem wzrok

Pan Józef i jego dwaj przyjaciele z Brzeska doszli do wniosku, że aby przeżyć mu-

szą się trzymać razem. Pomagali sobie, choć wiedzieli, że to ryzykowne.

- Do obozowego życia najlepiej przystosował mnie blockführer „Fajeczka”. Zawsze, nawet wtedy gdy maltretował więźniów, palił fajkę. Pamiętam, jak musiałem zrywać kostkę nawierzchniową ułożoną na dojściu do bloku nr 2 - wyznaje. Nie przemęczałem się. Uważałem, że siły trzeba oszczędzać. Zauważył to esesman. Starał się kopnąć mnie w żołądek lub przyrodzenie. Kręciłem się jak szalony, by zebrać jak najmniej razów.

Józef Stós pracował w obozowej betoniarni, woził koks. Twierdzi, że poprawił mu się żywot, gdy wkręcił się do żniwiarzy. U kosiarzy zawsze ułuskał trochę ziarna. Poza tym w ziemniakach rosły karpiele. Okoliczni ludzie chowali tam jedzenie - dla tych z obozu. Zbierał też liście na dawnej ujeżdżalni, a dziś placu apelowym. Wybawieniem wtedy było noszenie trupów do krematorium. Bardzo przykry był moment ładowania czy rozładowania nieboszczyków do skrzyni. Ciała były brudne, z owrzodzonymi nogami.

- Cały czas towarzyszył mi strach, ból, poniżenie. Podczas którejś stójki chodziliśmy po placu apelowym - wspomina. Było piekielnie zimno. Wiał wiatr. Padał deszcz ze śniegiem. Co chwilę ktoś obok mnie rzucał się na ziemię. Któryś dostał torsji. Któryś zwymiotował kawałkami kiełbasy. Podniósł ją z ziemi, powtórnie włożył do ust.

Będąc w więzieniu pan Józef trafił do szpitala. Na jakiś czas stracił wzrok. Z tego okresu nic nie pamięta.

- Nie wiem nawet czy jadłem czy nie. Głodny to chyba byłem, bo tak było stale.

## Blżej do krematorium

Po dziesięciu dniach więzień nr 752 odzyskał wzrok. Wtedy zobaczył obozowy szpital.

- Nieprzytomni wyli, chyba gorzej od wilków w nocy - mówi. Wyli tak przeraźliwie, że Niemcy z innych sal przylatywali. Próbowali uspokoić bijąc pasami. Nic nie pomogło.

Po wyjściu z oddziału zakaźnego pan Józef zaczął pracować przy budowie Führerheimu. Tu był zrobiony podkop i nim można było dostać się do piwnic.

- Staszek Maliński zawsze mi tam coś zostawił. Nawet raz znalazłem butelkę piwa. Wypiłem pół i na chwilę dobrze zakręciło mi się w głowie.

Pewnego dnia kapo zabrał więźnia 752 do sąsiedniej willi, aby naprawił podłogę i wymienił próg. Siekiera tak nieszczęśliwie uderzyła, że koniec jej ostrza wbił się więźniowi w kolano. Esesman stwierdził, że komendant niepotrzebnie kieruje go do szpitala. Przecież bliżej jest do krematorium ...

W międzyczasie kapo przyjął czterech cieśli. Pan Józef był ich szefem, bo kapo roz-

mawiał tylko z tym, kto zna niemiecki. Po ukończeniu szkoły murarskiej zabrano ich do budynku teatru, aby zrobić ścianki działowe. Kiedy wyjeżdżał po cegłę, czasem udało mu się zdobyć surowe ziemniaki.

- Wpadłem na pomysł, aby kłaść na piecu cegłę. Kiedy była już gorąca, zakrywałem nią kartofle pokrojone w plastry, ułożone na ziemi.

### Pod upragnionym dachem

Pana Józefa przydzielono w obozie do grupy pięćdziesięciu uczniów krawieckich. Dostał się pod upragniony dach.

- Pewnego dnia majster Franz wyskoczył z pokoju kapo. Był zdenerwowany. Na następny dzień miał uszyć spodnie - opowiada pan Stós. Przecież to jest niemożliwe. Oglądnął moje. Pobiegł do kapo. Wrócił. Mierzy. Pasują. Zostawiaj! - krzyknął. Do podwiniecia nogawek dał dwóch krawców. Ja przyszywałem guziki. Skończyliśmy. Kapo był zadowolony.

Komando, w którym pracował Józef Stós



J. Stós i T. Witkowski, Oświęcim 1987r.

bezpośrednio stykało się z odzieżą esesmanów i ich oficerów. Dążono więc do takich warunków, by więźniowie nie mieli wszy. Blok, w jakim mieszkał, jako jeden z pierwszych dostał łóżka z siennikami i pościelą. Nie wolno było jednak na niej spać. Jeżeli komuś zginęło prześcieradło czy poszwa, to było uznawane za sabotaż i karane śmiercią.

- Aby mi nie ukradli pościeli, spałem na niej - mówi. Ryzykowałem. Ale wybierałem bicie zamiast śmierci.

Pewnego dnia pan Józef zgłosił się, że umie jeździć konno. Został kutscherem. Do wspólnej pracy wyznaczono mu kolegę - Jasia Kudynowskiego z Sącza.

- Dostaliśmy francuski wojskowy wóz z wysokimi kołami oraz ciężkie niemieckie konie, które na dodatek nie umiały się cofnąć. Kazano nam jechać do miejscowości Bobrek i wyszukać deski potrzebne na meble dla arbeitsdienstführera Hesslera. Mieliśmy przepustkę bez zezwolenia przewiezienia

materiałów. Za to podpadł nasz poprzednik. Znaleźliśmy w jednej stodole trochę desek i szczęśliwie wróciliśmy. Udało się. Jasio zapytany, co zrobiłby gdybym chciał uciec odpowiedział, że ukręciłby leb esesmanowi i uciekł ze mną. Ale cieszy się, że tak się nie stało. W tym czasie jako represję za ucieczki przywożono do obozu całą rodzinę.

Więzień nr 752 będąc w obozie pełnił też funkcję korytarzowego. Była to dobra praca. Zamiast stać na zimnie i czekać na apel, myło się w ciepłym korytarzu. Później był kotłowym. Rano przynosił do bloków „aro” lub kawę, a w południe zupę.

- I znów zabrakło mi dachu nad głową - wyznaje. Nastąpiła kolejna redukcja w warsztatach. Do Brzezinki. Już miałem dosyć budujących się obozów. Urwałem się. Powtórnie praca pod dachem. Początek trudny. Musieliśmy przenosić kasy pancerne. Esesmani szaleli, przeklinali. W każdej chwili można było stracić palce u rąk, czy mieć zmiażdżoną nogę. Później pracowałem w betoniarni, a następnie w zbrojarni. Głowę miałem poobijaną od młota, którym co chwile

zawadzałem o belkę. Plakałbym, gdybym umiał to robić.

Pracę w zbrojarni więźniowie podzielili między siebie. Gotowanie należało do Gienka. Organizowanie jedzenia do Józka.

- Mnie została czysta zbrojarka - mówi pan Stós. Taki podział procentował. Zaraz za drutami była „Kanada”. Wagonami dostarczano ziemniaki z Belgii. Można było tam wejść przez okno - i prowiant na obiad.

Raz wyciągnęliśmy z wagonów trzynaście półówek owiec. Zauważył to blockführer. Powiedział: „Uważajcie, żeby was nikt nie nakrył”. Skończyło się na ostrzeżeniu i biciu, ale tych, co byli w hali.

### Aby przetrwać

- Nasze komando służyło w dużej mierze do przechowywania polskiej inteligencji - twierdzi. Komandoführer i kapowie stworzyli klimat, w którym pracujący tu więźniowie mogli przewiegetować. Sami chcieli żyć i czasem też dawali tę możliwość innym. Nie bezinteresownie. Nikt na świecie nie żyje sam. Z otoczeniem musi się liczyć.

Kiedy było się w obozie kilka lat, człowiek uczył się jak ma tam postępować.

- Wiedzieliśmy, że chociaż nie wiem jak bylibyśmy głodni, to nie wolno nam odebrać komuś jedzenia. Gdy jeden ukradł chleb drugiemu, to Walter zaczął go bić - opowiada

pan Józef. Zapomniał się i tak wrzeszczał, że my wrosliśmy w krzesła. Zapienił się, nic i nikogo nie widział. Franz chciał mu przeszkodzić. Bezskutecznie. Aż go zabił. Takie było obozowe prawo. Śmierć za kradzież chleba współwięźniowi.

Należało też zauważać blockführerów.

- To było wiosną - wspomina. Wracałem z kuchni do bloku, obok którego stał blockführer. Biegłem szybko, udając, że go nie widzę. Krzyknął na mnie. Zjąłem czapkę i zameldowałem się jako „roznoszący jedzenie w pracy”. „Ale i ślepy” - dodał do moich słów i uderzył w twarz kilka razy. Na brodzie miałem nie gojące się strupy. Przylepiły mu się do rękawicy. Gdyby je wcześniej zauważył, to zastrzeliłby mnie jako trędowatego.

Z psami również trzeba było umieć postępować. Gdy szedł oficer z czworonogiem, można było zaryzykować i nie oddać mu należnych honorów, to znaczy nie zdjąć czapki sześć kroków przed nim. Ściągając ją wykonywało się ruch i pies rzucał się na więźnia.

- Różne rzeczy się robiło, żeby tylko przeżyć - przyznaje się więzień nr 752. Ratując się przed wyzębieniem, wkładałem pod marynarkę dwa paski podwójnego lub potrójnego papieru tak, aby zakrywały mi przez ramię górę łopatek i krzyżowały się na przodzie. Raz za paczkę tytoniu kupiłem lisi kolnierz. Wszyłem go pod poduszkę na plecy. Człowiek żył w nieustannym strachu. Nie mogliśmy spać. I ta niepewność - co jutro? Za byle co straszliwe kary. Zawsze wieczorem był przegląd czystości. Każdy leżał na podłodze i podnosił nogi do góry. Zabrudziłem stopy, bo przeszedłem na bosaka do szafki. Za karę wyrzucono mnie na 20<sup>o</sup> mróz. Ale my nie poddawaliśmy się. Gdy byliśmy głodni, rozmawialiśmy o jedzeniu. To pomagało. Czasem nielegalnie udało się nam zorganizować „coś do garnka”. Ryzykowaliśmy zdrowiem i życiem. Kiedyś kolega przyszedł do zbrojarni i zawołał: „Wyciągaj!”. Wyjąłem mu zza paska płat zamrożonej słoniny. Przyniósł ją na plecach idąc w upalny dzień ponad dwa kilometry. Nic nie jest bezkarne. Zachorował na żółtaczkę.

Więźniowie mieli też schowki na ziemniaki, smalec, bulion i na wódkę, którą wymieniali na żywność. Tam też trzymali ubrania: skarpety, szaliki, rękawice.

- Duże skrytki były używane głównie na towary „masowe” - mówi pan Stós. Pewnego razu kolega Józek z jakimś zespołem skombinowali pięćdziesiąt konserw wieprzowych. Zjedliśmy z tego niewiele. Była wyspa. Wszyscy zamieszani w tę sprawę zginęli w bunkrze. Kolejny transport do schowków też zakończył się tragicznie. Organizatora Michała wykryto. Zabrali go esesmani. Przeprowadzili skatowanego podczas apelu do bunkra. Michał szedł z trudem. Głowa poruszała się w kierunku poziomym. Tak się z nami umówił, że jeśli by się załamał i wydał

innych, to będzie kiwał pionowo, a jeśli nie, to da nam znać kręcąc głową poziomo. Następnego dnia prawie się włókl. Był tak skatowany. Wyrzucono go z pomieszczenia przez okno na trawnik. Gdy przyszedł do siebie, dalej „nie puścił pary z ust”.

Czasem by urozmaicić obozowe życie, obmyślano różne procesy. Oczywiście fikcyjne. Byli adwokaci, sędzia, prokurator, urzędnik ministerstwa. Sprawę wymyślał komandoführer lub kapo. Wyrok był wiadomy. Przeważnie uniewinniano oskarżonego.

- Niektórych trzymały się jeszcze figle - wspomina więzień. Była niedziela. Budziliśmy Józka Węgrzyna. Sroka woła aby szedł z nim. My stoimy gotowi do drogi. Idziemy na „organizację” czyli skombinowanie czegoś do jedzenia. Józek zakłada buty, ale nogi nie chcą mu wejść. Zorientował się, że to jakiś kawał, bo wszyscy zaczęli się śmiać. Ogląda nogi, wkłada rękę do buta, a tam gotowany, jeszcze ciepły ziemniak. Pogroził nam, a kartofla zjadł.

### Być człowiekiem

W obozie ludzie różnie się zachowywali. Byli tacy, którym nie wystarczyło wiary i zwątpili. Znaleźli się też zwyrodnialcy. Ale można było też trafić na człowieka.

- Mój znajomy - Staszek nie przyszedł kiedyś do pracy. Później spotkałem go, gdy siedział w towarzystwie kolegów - wyznaje. Mówił, że chyba się pożegnamy. Został wezwany przez komendanta obozu. Dostał paczkę żywnościową, której nadawcą była żona ambasadora Szwecji czy Norwegii. To go zgubiło. Był bardzo opanowany. Na koniec powiedział do nas: „Pamiętajcie o mojej rodzinie. Przekażcie w jakich warunkach odszedłem”. Lubilem go, bo zawsze był człowiekiem. Początkowo nie wiedzieliśmy, co się z nim stało. Po jakimś czasie dowiedzieliśmy się, że w tym dniu rozstrzelali grupę więźniów. Wśród nich był Stach.

Wiosną 1944 r. rozeszła się wiadomość o ewakuacji wszystkich Polaków w głąb Rzeszy.

- Niedługo po rozpoczęciu pracy ściągnięto do obozu Polaków i ustawiono ich na Birkenwegallee. My przyszliśmy w komplecie, to jest dwudziestu pięciu razem z kapami - mówi pan Józef Stós. Całe komando zostało przeznaczone na wyjazd. Niedługo przed zakończeniem czasu pracy „Buhaj” nas wszystkich wyreklamował. Wróciliśmy na Bauhof. I znów ciężka praca. Dobrze, że byliśmy razem. Nieważne były przekonania polityczne, narodowościowe czy rasowe. Wszyscy chcieliśmy wolnej Polski. I tu - w miejscu zagłady potrafiliśmy się zjednoczyć. Znaleźć sposób na przetrwanie.

**Renata Skórnóg**

*Ciąg dalszy w następnym numerze*